Sobota, dn. 3 marca [1866 r.]

Dziś Twój list dopiero odebrałem i dziwię się, że tak długo szedł, bo sądząc z daty nagłównej – cały tydzień.

Donosiłeś mi już w poprzednim liście o chorobie Sławińskiego, nie spodziewałem się jednak, żeby tak zatrważające przybrała rozmiary.

Biedny chłopiec! – Może w chwili, gdy kreślę te wyrazy, poszedł już *ad patres*... Zawsze dobrze trzymałem o Sławińskim, ale te błahe wyrazy *ad umbra[s],* ad patres, mogę powiedzieć, zolbrzymiły go w moim mniemaniu. – Tak, myślę – powinien umierać młody człowiek, co jasno patrzył na życie. *Ad umbra[s], ad patres* – to nie wyznanie wiary, ale żart – szczery, prawdziwy, to objaw najsilniejszej woli i rezygnacji – to słowa, które mu powinni wyryć na grobie. Jakim był przez całe życie, takim umiera, a to potrafią tylko bohaterowie. Gdybym wierzył, modliłbym się co dzień o jego wyzdrowienie – ale nie chcę być jezuitą. Choroba jego, o ile ją znam z przykładów, jest prawie niewyleczoną.

Weźmy ten maleńki fakcik, jakim jest śmierć takiego jak on człowieka – maleńki w oczach ludzkości – przynajmniej na teraźniejszość – i pomyślmy, czy da on się pogodzić z wiarą w jakąś Opatrzność. Kto by chciał przypuścić – że jakaś nieskończona mądrość boża w tym się objawia – mądrość, której my nie pojmujemy. Mądrość, że chłopiec-sierota, co tak pracował, co tyle obiecywał w przyszłości, tak mało żył i tak mu źle na świecie było, że taki chłopiec – nie dobiwszy się niczego – umarł.

Jeżeli to mądrość, to wprost przeciwna pojęciom mądrości i sprawiedliwości ludzi – a my wszystko wprost przeciwne mądrości naszej – nazywamy głupotą.

Tu już zachodzi taki fakt, który każdy może sobie wytłumaczyć, fakt przystępny dla każdego rozumu – to już nie Trójca owinięta przez księży w szatę tajemniczości i wyższości nad pojęcie ludzkie…

Łatwiej sobie wytłumaczyć taki fakt prostym rozstrojeniem organizmu, które nadmiar pracy sprowadził.

Wdałem się w dowodzenia, może bardzo nie w porę, ale nie mogłem puścić mimo myśli, które mi gwałtem cisnęły się do głowy.

Co do drugiej nowiny o wywiezieniu Hipolita, na tę byłem od dawna przygotowany. Jest to jednak smutny fakt, smutniejszy nawet jak śmierć albo ciężka słabość Józefa.

Pominąwszy wszystkie dolegliwości wywiezionego, jakkolwiek te mogą być okropne – samo takie oddzielenie go od reszty świata jest to najokropniejsze zabicie przyszłości człowieka.

Wyrwany spośród życia szczerego, przyjacielskiego, jakim się otaczał, wyrwany

nauce i pracy umysłowej – zginął najniezawodniej. Jeszcze przy tak wrażliwym i kontemplacyjnym charakterze jak Hipolita – taki stan jak obecny grozi albo idioctwem, albo wariacją. Przypuśćmy nawet, że ten stan nie potrwa długo – wróci wtedy za stary do nauki, za niedołężny na człowieka dojrzałego – słowem, wariat albo zdziczały.

Prawdziwie będzie mógł powiedzieć o sobie: „Mogłem być czymś – jestem niczym".

A szkoda go wielka, bo jeżeli nie olbrzym, to bardzo szlachetny, prawdziwy i poczciwy człowiek.

Musimy do niego pisywać często – będzie to dla niego prawdziwą, może jedyną uciechą. Żebyś się tylko mógł wywiedzieć o miejscu jego pobytu – może starzy Hantowerowie dadzą Ci w tym względzie jakie wyjaśnienie. –

Schodzę powoli, tak jak i Ty, do naszych wspólnych interesów, a to nie przez egoizm, ale przez naturalne następstwo rzeczy.

Z tego wszystkiego, coś mi do tej pory doniósł o stanie Twojej miłości względem H. S., nic się dowiedzieć nie mogę. Wprawdzie i Ty zapewne niewiele więcej wiesz ode mnie, ale dziwię się jednak, że do tej pory nic jeszcze nie postanowiłeś i nic nie zrobiłeś zupełnie.

I właśnie sądzę, że z tego stanowiska biernego wynikają te wszystkie bóle, niepewności, walki wewnętrzne itp. objawy uczucia. Zapewne, że jest bardzo trudno coś postanowić w takim położeniu co do poznania i ocenienia p. H., ale można, zdaje się, dokonać w sobie jakiegoś przewrotu, który by stanowczo odkrywał przyszłość.

Czy masz jakikolwiek, chociażby wątły, promyk nadziei? Czy jest jakie prawdopodobieństwo, niechby najsłabsze, przyszłego połączenia Waszego? Czy liczysz co na własne siły? Czy wreszcie p. H. wartą jest miłości, starań i mozołu? – Oto pytania, na żadne z których nie odpowiedziałeś sobie jeszcze, a przynajmniej nie odpowiedziałeś mnie. Jeżeli na nic nie liczysz, jeżeli jesteś przekonany, że nie wytrzymasz współzawodnictwa z żadnym trochę gładkim chłopcem, to po co psuć sobie krew, targać siły w bezcelowym szamotaniu i zagradzać przyszłość? Jedna chwila walki i cierpienia, choćby najbardziej spotęgowanego, nie zniszczy tak, nie zniechęci i nie złamie, nie przeje do tego stopnia wszystkiej wiary i nadziei, jak takie stopniowe a powolne pasowanie się między nadzieją szczęścia a wieczną boleścią. Owszem, w cierpieniu przebytym i zwyciężonym czerpie się zwykle siły, gdy tymczasem, gryząc się powoli, do reszty utracić je można. Jeżeli uczucie przyjaźni dla R. i szlachetności nie pozwala Ci współzawodniczyć z nim, to powiedz to sobie od razu i [nie] durz się mrzonkami przyszłości. Jesteś, sądząc ze słów Twoich, między młotem a kowadłem. – Musisz albo szkodzić Rodemu, albo wyrzec się p. H. Chociaż według mego widzi mi się – uczucie przyjaźni jest źle zrozumiane, a przynajmniej za wcześnie.

Nie wiem więc, na co się zdecydujesz, ale powiem Ci, że ja nie widzę ani nieprawdopodobieństwa, ani braku nadziei, ani nic podobnego. Chociaż znając szczegółowo położenie swoje, zapewne lepiej to ocenić potrafisz, to jednak ja na Twoim miejscu nie ustąpiłbym pierwej, ażbym dotykalnie się przekonał o prawdzie i pewności wszystkich zarzutów, jakie czynić może nieproszony, jak powiadasz, rozsądek.

W każdym razie rada, jaka, Ci przedstawić mogę, jest: zdecyduj się.

Rozumuję, być może, za zimno, zarzucisz mi, że jedno jaśniejsze spojrzenie może obalić i zniszczyć wszystkie z taką pracą i cierpieniem wymuszone postanowienia – na to odpowiedzieć mogę, że w razie, gdybyś postanowił wszystko zakończyć – unikaj tych spojrzeń aż do czasu, w którym będziesz je mógł znieść spokojnie.

Zresztą, czyż serce raz tylko żyć może? Jak można go zmusić, ażeby milczało, tak można mu czuć rozkazać. –

Znaczy to, że można wybić klin klinem.

Jest tyle panien, dziewczyn i dziewczynek równej, a nawet wyższej piękności jak p. H. – czyż nie można wybrać jednej z takiej liczby, jednej odpowiedniej charakterem, położeniem, majątkiem – czyż nie można jej poznać, pokochać i ożenić się na koniec?

Przykro jest, to pewna, rozstawać się z przeszłością, ale zawsze lepiej niż wskutek przywiązania do niej powiedzieć sobie wreszcie mogłem być czymś – jestem niczym.

Smutne słowa – które jednak łatwo wyrzec przychodzi, zwłaszcza jeżeli ktoś jest na tej drodze, na jakiej Ty obecnie.

Nie winię tych, co tak mówią. Nie winię przez egoizm, przez miłość własną, bo podobno mnie samemu tak wkrótce mówić przyjdzie. Nie chcę kreślić swoich zmartwień, żeby nie psuć papieru, powiem Ci tylko krótko. Do lat 20 próżnowałem, więc została czczość – miłość mnie trochę zawiodła (jak to wiesz), wiarę straciłem. Oto moje nieszczęścia wymienione lapidarnym stylem. Twój stan, prócz względu tycząc[ego] próżniactwa – niewiele się różni – masz jednak jedną więcej szansę – to jest, możesz się uczyć. Zapewne mogę i ja, ale pozwól, że rzucę nawiasem pytanie, co by się stało, gdybym mimo całej usilności obecnej nie zdał egzaminu. – To bardzo być może – o wypadek nietrudno – a w takim razie?… Wojsko albo kula w łeb, i basta! Trochę to ostatnie za ryzykowne, jest jeszcze wiele innych środków, a mianowicie być ekonomem, pisarzem, guwernerem, wreszcie kamerdynerem, lokajem, świniopasem itp., ale to wszystko nie przypada zupełnie do mego gustu, tak że między wyborem pierwszym a ostatnim ani chwili bym się nie wahał.

Nabieram coraz więcej przekonania, że żeby być szczęśliwym, trzeba być albo bydlęciem, albo uwierzyć w zasadę: *Pereant qui crastina curant*. Do tej ostatniej ja się

cokolwiek skłaniam, powiem nawet, że jestem z natury usposobiony, a przynajmniej wierzę, że ona nie jest zawsze kłamstwem, wierzę, że może być ostatnim schronieniem, w którym bezpiecznie mogą spocząć męty z życia.

Ten ostatni wyraz przywodzi mi na myśl jedną rzecz.

Ludzie żenią się zwykle w 30–40 roku. Jest to bardzo źle i bardzo głupio. Chcę mówić o tych mętach życia, które wtedy daje się w zamian za niewinność i całe życie, jakie oddaje kobieta. Bo cóż może dać mężczyzna 30– lub 40– 1etni? Resztki uczucia, resztki zapału i resztki sponiewieranej po domach publicznych niewinności. Daje nic – a bierze wszystko. O ileż by 1epiej było ożenić się w roku 20 lub 19, kiedy człowiek czuje i umie kochać i oceniać miłość wzajemną. Kto z nas nie kocha się w roku 20, kto nie cierpi i zniechęca się za wcześnie? Później smutek i żal niewczesny; żal za przeszłością i słowa: mogłoby być inaczej – oto mniej więcej, co każdy z nas wyrzec musi.

Dziś się siebie spytam, co by ze mnie być mogło, gdyby miłość zasiliła mnie i uszlachetniła zamiast przeciwnie. Na to ja sam tylko odpowiedzieć mogę, znając swoje zasoby, siły i zdolności. Jeżeli myślą stworzę ten obraz złoty, to sam dziwię się sobie i uwielbiam siebie takiego, jakim być powinienem, jakim być chciałem i jakim być mogłem i miałem prawo bardziej niż kto inny – a jakim jednakże nie jestem i nie będę, bo nieubłagane „za późno” czuję w każdym tętnie krwi mojej, w każdej myśli i w każdym słowie. – Zresztą już bym i nie chciał, i nie miał siły.

Biorę na świadka własną Prawdę myśli moich, że jak pamiętam siebie dzieckiem, to takie dziecko nie tylko świecić, ale i błyszczeć powinno. Nie mówię tego przez miłość własną, przez pychę, co świecąc fałszywym szychem chciałaby dowieść, że dawniej na jego miejscu złoto leżało, ale to powiadam, co każdy inny o mnie wtedy mówił i myślał. Dziś gram trochę komedią geniuszu w domu przed rodzicami, dlatego żeby ich nie zasmucać i nie rozczarowywać za wcześnie – przed obcymi przez miłość własną i żeby trochę blagować – ale Tobie powiem szczerze, że obecnie jestem takie pospolite indywiduum jak wszyscy inni.

A jednak miłość nie przestała mi się jeszcze uśmiechać – jeszcze i ja się do niej śmieję i wyciągam ręce tak samo prawie jak przed laty, ale „nieubłagany rozsądek” jak i Tobie mówi mi: „Głupiś”.

Chcąc pofilozofować powiem Ci, żeśmy trochę za wcześnie żyć zaczęli pod względem uczuć.

Mimowolnie przychodzi mi śmieszna myśl, że szczęście, że ani Ty, ani ja nie mamy nałogu do pijaństwa, bo przy tylu różnych troskach łatwo by było rozpić się.

Ty, jak uważam, jesteś trochę skłonny do apatii, do owej bezwładności, na jaką się

obecnie uskarżasz – w zupełnym przeciwieństwie do mnie, który nawet w chwili zniechęcenia rzucam się jeszcze prawie więcej jak w stanie normalnym – koniecznym następstwem tego jest owa lekkomyślność i zmienność, o jaką mnie oskarżasz i jaką zresztą ja sam przyznaję do tego stopnia, że nie zaręczyłbym, czy tego, co teraz piszę, nie nazwę kapitalnym głupstwem za godzinę.

Jednej Ci jednak rzeczy zazdroszczę mimo moją niedbałość, tj. tego, że się kochasz. Zazdroszczę Ci nawet tych smutków wypływających z boleści, tej niepewności i rozpaczy, w jaką wprowadza miłość. Jest ta jednak, przyznasz, pewna, choć dziwna, przyjemność, jest to, wyrażając się prozaiczno-medycznie, bolesne drapanie miejsca na ciele, które swędzi.

Dziwna rzecz jednak, że my mając jasne pojęcie szczęścia nie umiemy go sobie zdobyć, a raczej nie możemy, mając na zdobycie go taką broń jak młodość. Na tym kończę mój list, bo i wołają o pośpiech, żeby prędzej odesłać, i zresztą zapewne niedługo napiszę drugi. Akurat razem pisaliśmy, bo i ja w sobotę napisałem list 3-arkuszowy, nie posłałem go jednak i tak przeleżał tydzień w szufladzie.

Bądź łaskaw, donoś mi jak najdłużej i jak najczęściej wszystkie szczegóły tyczące się zdrowia Sławińskiego, namów i Fagońskiego, żeby co napisał.

W dopisku Twego listu przeczytałem: „Twoje egzamina nie zaczną się prędzej, jak w roku… czy zeszłym, czy w przeszłym, czy w przyszłym, tj. od wakacji" – nie wiem – bądź tak dobry, rozjaśnij tę kwestii i donieś mi o niej cokolwiek szczegółowiej.

Na Wielkanoc – do widzenia! Mam nadzieję, choć słabą, że wtedy zastanę polepszone i zdrowie Sławińskiego, i stan Twoich uczuć.
Do widzenia. –

H.S.

Jeżeli chcesz i możesz, przyszlij mi okazją jakie dwa drugie tomy Słowack. albo Mickiew. prócz *Pana Tadeusza,* bo zupełnie nie ma co czytać w święta.